Rok 1935. 15 września Nr. 38

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Pod redakcją Eli Oleskiej.

Jesienią.

Szare ptaszyny, szare ptaszyny
W łunie zachodu lecą,
Ostatnie złote słońca kruszyny
Na ich skrzydełkach świecą.

Za sine morze jak czarna chmurka
W kraj świata mkną daleko,
A w locie gubią pstre swoje piórka
Nad oną modrą rzeką.

Marja Konopnicka

Kiedy nocą księżyc świeci.

Bajeczka dla dzieci.

-- Uhu! Uhu! — straszył puhacz raz za razem grubym głosem. A gdy ucichło echo, rozległ się po lesie przeraźliwy śmiech sowy, której zasypiające po gniazdach ptaszki tak się lękają, jak spokojni ludzie napadu rozbójnika. Jedno ptaszę drugiemu szepce, kryjąc główkę pod skrzydełko: Sowa krzyczy, sowa buja, pilnuj gniazdka, strzeż się zbója!

Któżby się dziwił, że w takiej chwili serduszko Wisi trzęsie się, niby ta ptaszynka, przed którą w ciemną noc zaświecą się kocie ślepia sowy. Dziewczynka drżącą rączką zacisnęła na piersiach dużą czerwoną chustkę, która z głowy spadała jej na plecy i zadyszanym głosem szepnęła do braciszka:

— Wicku, już dalej nie mogę. Tak gonisz, tak mnie ciągniesz...

Ale chłopczyk w granatowym kaftanie jakgdyby nic nie słyszał, biegł dalej przez las, nasunąwszy sobie tylko lepiej na czoło kapelusik zielony, żeby mu w biegu nie zleciał.

Wtem Wisia ustała w drodze, przez co i Wicek, który ciągnął ją za rękę, musiał się zatrzymać. A wtedy odrazu przestały ich gonić dwa cienie, które w ślad za dziećmi posuwały się po ziemi jasno oświetlonej księżycem. Poznali, że to własne ich cienie, obok których znać było na ziemi dłuższe cienie drzew i krzaków. Lecz to ich wcale nie uspokoiło.

W lesie było strasznie nawet wtedy, gdy ani sowa nie wrzeszczała, ani lis nie przedrzeźniał się jej swoim krzykiem. Cóż z tego, że miesiąc świeci i rozjaśnia ciemności nocne. Ale chatkę swoich rodziców pod lasem zostawili dawno za sobą i teraz do niej spowrotem nie trafią. A do domku babuni w lesie za stawkiem Bóg wie jak jeszcze daleko i drogi znaleść nie mogą, chociaż tacy byli pewni, którędy iść trzeba.

— Wicku, a co się tam świeci za temi krzakami....o, tam...przecież to nie robaczki świętojańskie, co tu latają, to coś dużego...

— Chodźmy tam, Wisiu, może to właśnie światło w oknach babci.

Pobiegli. Ale zaraz po kilku krokach przystanęli bezradni. Las nagle się odmienił. Pod nogami zrobiło się naraz bardzo mokro. Ich białe chodaki zaczęły grzęznąć w błocie. Między mchem błyskały kałuże, a gdy

chcieli je wyminąć i zboczyć, z poza gęstwiny krzaków ukazało się jeziorko, świecące się jaskrawo w blaskach księżyca. Teraz mgła zaczęła się podnosić dokoła nich i obłoczkami białemi, pełzającemi cicho tuż nad ziemią, zbliżać się — aż dzieci zniknęły: przykryła je chmura pary. Wisia przytuliła się do brata, on zacisnął jej rączkę w swych mocniejszych palcach.

— Już nic nie poradzimy — myślą — niech się dzieje co chce, byleśmy razem byli, gdy nas napadną owe leśne potwory...

Tymczasem zamiast obrzydliwych potworów, zbliża się ku dzieciom para ślicznych a dziwnych motylków czy aniołków. Z białych ramion podnoszą się lśniące, kolorowe skrzydełka. Włoski długie złociste. Twarzyczki dziecięce. Nad jedną główką gwiazdka czy robaczek świętojański świeci, aż widać wyraźnie pawie oka na skrzydłach tego motyla-aniołka. Drugiemu z nad czoła ćma rozwija skrzydełka. Oba unoszą w górę długie zielone szatki, by ich rąbkiem nie dotknąć się brzydkiego robactwa, co lezie u ich stóp po błocie.

— Kto wy jesteście — szepnie Wicek, a na to aniołki:

— Nierozłączne z sobą drużki, my królowej leśnej służki.

— A to nas do niej prowadźcie — odezwała się uspokojona Wisia.

Coś plusnęło, jakby kamień wpadł w wodę, coś obryzgało im twarze, aż oczy musieli ocierać. A tu patrzą i sami siebie poznać nie mogą.

— Gdzież chodaki grube białe, gdzie łatane twe spodeńki?

— Patrz, ubranko moje całe, pantofelek jaki cienki...

— Ani śladu z mej spódniczki pod fartuszkiem cerowanej, patrz, sukienka a buciczki! Nie znasz siostry tak ubranej.

— Kto uczesał nam tak włoski? Kto nas przebrał tak bez troski?

On w zgrabnej granatowej bluzeczce z paskiem, ona w sukience długiej, białej w kropki błękitne, siedząc na ławeczce, pochylili się nad zwierciadło, które mieli pod nogami. Podnieśli oczy: lustra mieli i z boku, i z przodu, i z tyłu, pod sobą i nad sobą.

— Ależ tu całe ściany ze zwierciadeł! Może to sala balowa...

Wstali. Braciszek ujął siostrzyczkę za rączkę, jak do tańca ją prowadząc, ale stąpał tak delikatnie po lustrach na podłodze, że nie miał odwagi wziąć się do tańca naprawdę. Jakiś pałac czarowany, cały szklany, zwierciadlany.

Wtem aniołki-motylki, z któremi przedtem rozmawiali, zjawiły się znowu skąpane w blaskach miesiąca i poprosiły do tańca. Wkrótce sala napełniła się podobnemi do tamtych motylkami, ważkami i ćmami. Wszystkie kołysząc się, zataczały koła w takt walczyka, który same wygrywały. Wicek z Wisią nie wiedzieli, kiedy sami też zaczęli tańczyć. Ale wśród tańca tak im się główki zakręciły, że wszystko z oczu stracili.

Kiedy przystanęli, otaczał ich znowu las nad jeziorkiem, które drżało srebrną łuską w blasku księżyca. Wysokie trawy z nad wody chwiały się, śpiewając coś cichutko.

— Gdzieśmy byli? — spytał Wisię Wicek.

— U mnie, śliczny królewiczu — szepnęła niespodziewanie, podnosząc się jak kwiat z koniuszka wysokiego tataraku, piękna boginka z tęczowemi skrzydełkami motyla Sfrunęła, na piersi chłopczyka zawisła jak tanecznica i kołysząc się, porwała Wicka w taniec. Wisia zaś została sama, głaszcząc sarenkę, która się do niej zbliżyła. Zrobiło się dziewczynce smutno. Brat przepadł. Ale naraz słyszy za sobą tupot. To Wicek wraca na grzbiecie jelenia. Porwał Wisię z ziemi, wsadził w mig na sarenkę i zaczęli oboje pędem uciekać.

— Prędzej! — krzyczał do siostry — bo mnie goni leśna królowa.

— Jaka królowa? — pytała Wisia, trzymając się mocno szyi sarenki.

— Ta, z którą tańczyłem.. nie wiesz, przecież byliśmy w jej pałacu...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— A wy dokąd chcecie uciekać — odezwał się głos babci — śpijcieno, dzieci, nie hałasujcie po nocy.

To nie leśne boginki mówią, to słychać głos babuni. Co to? Wicek i Wisia otwarli zaspane oczy. Przez drzwi uchylone widać było babunię w białym czepku, w niebieskim szlafroczku. Świecznik postawiła na podłodze i przez szparkę we drzwiach zagląda, co dzieci robią w łóżeczkach, czemu przez sen coś mówią i gdzieś chcą uciekać.

— Śpimy, babciu, śpimy — mruczał Wicek — tylko Wisia powiada, że ja nie trafię przez las do domku babuni...

Już zasypia Wicek spowrotem i znowu śni się chłopcu wizyta w pałacu leśnej królowej, a Wisia dalej przez sen widzi boginkę leśną śpiącą pod grzybami... *Wujcio Kazio.*

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział Marjan Warta. *(Ciąg dalszy).*

— Widziałem przez okno, jak czemś potrząsał przed twojemi oczami. Co to było, Banko?

— Widziałeś, dziecko... to krys, to najstraszniejsza broń Malajów, morderczy sztylet z ostrzem wężykowatem.

Ciemności nocne rozjaśniła wielka łuna pożaru, który rozszerzał się w mgnieniu oka. Stokrotne echa roznosiły po puszczy huk strzałów i przeciągłe grzmoty dzikiego wrzasku zbuntowanych napastników.

W godzinę później cała kolonja europejska przestała istnieć. Zgliszcza dogasały na placu, gdzie się mieścił zarząd plantacji. Drogą zaś przez las potężnych drzew kauczukowych, walił się z głośnym krzykiem tłum Malajów, zmierzając ku swoim osadom.

Między nimi prowadzono garstkę białych, skrępowanych, których buntownicy zabrali żywcem do niewoli, pozbawiwszy ich po walce wszelkiej broni.

Gdy pochód już się kończył, Banka, która, zasłaniając sobą chłopczyka, przeczekała na uboczu pod lasem, krzyknęła teraz, nawołując po malajsku tegosamego olbrzyma, który ją ostrzegł z wieczora. Potężny chłop w białym zawoju obrócił się i w stronę głosu kobiecego zrobił kilka kroków. Porozumieli się, a wtedy kobieta chwyciła chłopca za rękę i ciągnąc go za sobą, powlokła się w milczeniu za tłumem, wyjącym po lesie.

W parę godzin później Will, nic nie wiedząc, gdzie się znajduje, zasnął znużony, z głową na kolanach swej dawnej piastunki.

Kiedy się obudził, był już dzień zupełny. Rozejrzał się wokoło. Otaczała go puszcza, podobna do tej, jaka stanowiła część znanych mu plantacyj, ale wśród drzew uderzyła go odrazu większa rozmaitość. Bliżej znów zdawało mu się, że widzi brudne podwórze gospodarskie.

— Gdzie ja jestem? — myślał sobie, rozglądając się coraz bardziej.

Zrozumiał nakoniec, że znalazł się w osadzie Malajów, wśród owych robotników, którzy w plantacjach porzuciwszy robotę, pozostali dziś w swym domu.

A był to dom osobliwy. Zbudowany na palach, cały z bambusu, jak zresztą prawie wszystko, co u tych ludzi jest w użyciu, miał rozmiary ogromne, zajmując przestrzeń stukilkudziesięciu metrów kwadratowych. Samotna ta budowla wśród puszczy stanowiła więc całą wioskę.

Jak się później przekonał, dom składał sią z mnóstwa izb, a każdą z nich zajmowało jedno stadło małżeńskie z dziećmi. Wszyscy mieszkańcy mieli wspólną dużą werandę, która służyła raz za warsztat, innym razem za miejsce wypoczynku.

Niemiłe wyziewy, które Will zauważył od pierwszej chwili, że z dołu dostają się do mieszkania, pochodziły od licznego bydła, trzymanego na ziemi między palami, wzdłuż pod podłogą całego domu. Widział, jak w błocie i w gnoju przewracały się bawoły i świnie, a między niemi kury grzebały, wyszukując resztek słodkich kartofli, lub wyrzuconych im z niedojedzonej strawy ziarn ryżu i kukurydzy.

Gdy się temu przyglądał, wróciła do niego Banka, która tymczasem z kimś ze starszyzny porozumiała się co do losu syna dyrektora plantacyj. Jej tylko chłopiec zawdzięczał, że ludzie ci, mszcząc się na ojcu, nie związali syna powrozami i nie trzymali go w ciemnicy, jak postąpiono z innymi białymi jeńcami w sąsiedniej osadzie, o pół mili dalej położonej.

Chłopczyk był ich więźniem i to najważniejszym zakładnikiem, lecz pozostawiono mu względną swobodę, na odpowiedzialność Banki, której zagrożono, że gdyby mu ułatwiła ucieczkę, sama z ich ręki zginie. *(C. d. n.)*

Tak się pożywia żołnierz chiński, któremu wystarcza nawet w uciążliwym marszu porcja ryżu, jedzonego przy pomocy patyczków zamiast łyżek i widelców.





Dzieci chińskie przy nauce katechizmu przez misjonarza

Szarada

Zedrzesz *pierwszą-drugą*, drzewo to odczuje.
Pierwsze-trzecie, gdy ma kolce — kłuje.
Wszystko na dnie morskiem żyje,
Albo pannie zdobi szyję.

Rozwiązanie szarady z nru. 38

Kuro. Kupa. Kutwa. Ropa. Twa. Ku. Kuropatwa.